

# Julian Babula

---

## Poligon w Przyłęku pod Mielcem. Mały epizod z walk w sierpniu 1944 roku

---

Przegląd Historyczno-Wojskowy 13 (64)/3 (241), 195-200

---

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Poligon w Przyłęku pod Mielcem. Mały epizod z walk w sierpniu 1944 roku

W końcowym okresie II wojny światowej w Europie (sierpień 1944 r.) jako 8-letni chłopiec byłem uczestnikiem wydarzeń, które na wiele lat utkwily w mojej pamięci, wywołując różnego rodzaju pytania i emocje. Po raz pierwszy widziałem wówczas wielu zabitych ludzi (żołnierzy), palące się czołgi i działa pancerne, byłem świadkiem dramatycznych scen, których uczestnicy zachowywali się w sposób dla mnie zupełnie niezrozumiały.

Dopiero po wielu latach (w 1967 r.) postanowiłem wrócić do miejsc, w których rozgrywały się zapamiętane przeze mnie wydarzenia. Poświęciłem na to cały urlop wypoczynkowy, przeprowadziłem solidne studia terenowe, odwiedziłem różne lokalne instytucje administracyjne (Niwiska, Kolbuszowa, Mielec), a także placówki archiwalne w Rembertowie (CAW), w Rzeszowie i Mielcu. Przeprowadziłem również wiele rozmów z ludźmi, którzy byli uczestnikami bądź obserwatorami wspomnianych wydarzeń. Dopiero wówczas uzyskałem w miarę zupełny obraz tamtej sytuacji wojennej, środowiskowej i rodzinnej.

Pozyskany materiał był podstawą opracowania studium operacyjnego, które przedstawiłem kierownikowi Katedry Historii Sztuki Wojennej Akademii Sztabu Generalnego gen. bryg. prof. Stanisławowi Okęckiemu (25 stron tekstu, 2 mapy sytuacyjne, 3 rysunki). Moja praca uzyskała wysoką ocenę i była prezentowana kadrze i studentom ASG. Stanowiła też podstawę zaliczenia mi przedmiotu historii sztuki wojennej w roku akademickim 1967/1968. Ta świetna wówczas wyższa uczelnia wojskowa, podlegała bezpośrednio Sztabowi Generalnemu WP, była otwarta na podobne inicjatywy badawcze.

W niniejszym tekście nie będę jednak szczegółowo przedstawiał operacyjnego tła wydarzeń, których byłem świadkiem, gdyż zostało ono wyczerpująco opisane przez badaczy tej tematyki (por. m.in. T. Sawicki, *Bitwa o przyczółek sandomierski*, „WPH” 1988 nr 4, s. 95–103; H. Stańczyk, *Operacja sandomiersko-śląska I Frontu Białoruskiego. Bitwa o Górny Śląsk*, Warszawa 1996). Ograniczę się jedynie do najbardziej ogólnego zarysowania sytuacji operacyjnej, w której rozgrywały się zapamiętane przeze mnie wydarzenia.

W wyniku letniej operacji 1 Frontu Ukraińskiego (1 FU) w lipcu 1944 r. na obszarze zachodniej Ukrainy, moje rodzinne strony (powiat kolbuszowski w byłym województwie rzeszowskim) znalazły się w strefie bezpośrednich działań wojennych. Front radziecko-niemiecki ustalił się ostatecznie na rubieży: rz. Wisła, Sandomierz, Staszów, rz. Czarna, Baranów, rz. Wisłoka, Mielec, Dębica.

Bardzo ważnym wydarzeniem operacyjnym było zdobycie 29 lipca 1944 r. przez wojska 1 FU przyczółka w rejonie Baranowa Sandomierskiego. Dowódcy niemieccy, świadomi powstałego w związku z tym zagrożenia, już 1 sierpnia 1944 r. starali się zlikwidować go uderzeniami swoich wojsk z rejonu Mielca i Tarnobrzegu. W zaistniałej sytuacji dowódca 1 FU najprawdopodobniej postanowił w pierwszej kolejności rozbić zgrupowanie mieleckie przeciwnika, zagrażające przyczółkowi

w rejonie Baranowa Sandomierskiego. W tym celu wprowadził do działań trzy wydzielone z 5 A gw. (gen. Aleksiej Żadow) zgrupowania taktyczne:

- 78 DP gw. – kierunek Kolbuszowa–Mielec;
- 9 DPDes gw. – kierunek Hyki Dębiaki–Mielec;
- 14 DP gw. – kierunek Dębica–Mielec.

W wyniku tych działań przyczółek został utrzymany, a sam Mielec wyzwolony 6 sierpnia 1944 r. Jednostki radzieckie poniosły w tym rejonie (powiaty kolbuszowski i mielecki) ogromne straty w ludziach, uzbrojeniu i innym sprzęcie technicznym (samochody, ciągniki, środki dowodzenia). Na samym tylko cmentarzu wojennym (zbiorczym) w Mielcu zostało pochowanych 2291 żołnierzy radzieckich (napis na tablicy cmentarnej: *Tutaj pochowano 2291 żołnierzy i oficerów Armii Radzieckiej, którzy polegli w walkach o wyzwolenie miasta i ziemi mieleckiej spod okupacji hitlerowskiej*).

Należy w tym miejscu dodać, że w tym okresie w wyniku poniesionych strat i niesprawnego systemu ich uzupełniania jednostki radzieckie (w tym dywizje piechoty i brygady pancerne) miały znacznie obniżony potencjał bojowy. Wymieniane często w literaturze wzmocnienie dywizji piechoty polegało głównie na czasowym przydzieleniu jej kilku czołgów T-34 i dział pancernych SU-76 (85, 120 lub 152).

W dniu 3 sierpnia 1944 r. ok. godz. 10.00 zmotoryzowana jednostka niemiecka (grupa bojowa) przybyła z Mielca i zamknęła szosę Kolbuszowa–Mielec w mojej rodzinnej wiosce Przyłęk. W tym czasie drogą tą maszerowały piesze kolumny radzieckie, wzmocnione wspomnianymi nielicznymi środkami pancernymi. Dla Niemców było to typowe zajęcie kolejnej rubieży opóźniania na tym kierunku operacyjnym.

W tej fazie wojny Niemcy wykorzystywali liczne grupy bojowe. Tworzyli je z pozostałości rozbitych dywizji, których nie można było odpowiednio uzupełnić z braku wyszkolonych rezerw, a także uzbrojenia i sprzętu technicznego.

Grupa bojowa, która przybyła z Mielca do Przyłęka, składała się z ok. 5–8 transporterów opancerzonych, 20 samochodów ciężarowych z piechotą, działa plot 88 mm, 3 działek ppanc, 3 moździerzy, 2–3 samochodów osobowo-terenowych, 2 samochodów sanitarnych ok. 5–6 różnych samochodów gospodarczo-technicznych (kuchnia, zapasy). Siłami tymi obsadzono 2 linie obronne oraz zorganizowano 3 punkty dowodzenia, 2 punkty medyczne i punkt gospodarczy.

Grupa liczyła ok. 250–300 żołnierzy bogato wyposażonych w karabiny maszynowe typu MG i pistolety maszynowe. Liczebność ta ulegała ciągłym zmianom, gdyż w miejsce ewakuowanych rannych i zabitych dosyłano z Mielca uzupełnienia (potwierdzają to ówcześni mieszkańcy tych okolic: J. Turkosz, J. Wojciechowski, W. Koba, M. Strzępka, F. Piechoła, F. Strzępa i J. Zieliński).

Spotkanie z wojskami radzieckimi na tej rubieży Niemcy przewidywali chyba znacznie wcześniej, gdyż od wczesnej wiosny 1944 r. prowadzili intensywne prace (w dzień i w nocy) nad 5 typowymi betonowymi bunkrami bojowymi, przeznaczonymi na gniazda cekaemów (2 kabiny: bojowa i wejściowa). Usytuowane na fałdzie terenowej miały blokować wspomnianą szosę Kolbuszowa–Mielec i dogodnie rubieże do natarcia z kierunku wschodniego – płaskie i szerokie łąki oraz pola uprawne na lizjerach lasów (mapa sytuacyjna).

Do końca lipca zdołano zbudować tylko jeden bunkier – na prawym skrzydle planowanej niemieckiej rubieży opóźniania (Górny Przyłek–Świątkowe Pola), pozostałe zaś, znajdujące się w różnej fazach budowy, nie były zdolne do bojowego wykorzystania (wykopy, betonowe fundamenty, żelazne zbrojenia, drewniane szalunki). Gotowy bunkier był usytuowany w głębokim wykopie, a wchodziło się do niego po drewnianej kładce.

Walka rozpoczęła się w rejonie zabytkowej kapliczki Matki Boskiej przy szosie, a następnie objęła swym zasięgiem okoliczne pola i łąki (po ok. 1–1,5 km z obu stron szosy). Kolejne pododdziały radzieckie podchodziły od strony Kolbuszowej i zajmowały skraj lasu. Siły niemieckie zbliżały się zaś od strony Mielca i bardzo sprawnie umacniały się na wspomnianej fałdzie terenowej. Obie strony strzelały gęsto z różnego rodzaju broni – głównie z broni maszynowej.

Około godz. 12.00 wyznaczeni żołnierze niemieccy rozbiegli się po wiosce i nakazali natychmiastowe jej opuszczenie przez wszystkich mieszkańców. Kto miał wóz konny lub rower, uciekał z rodziną w kierunku Rzochowa lub Ostrów Tuszowskich (szosa prowadząca do Mielca była zajęta przez wojska niemieckie). W wiosce pozostali jednak ludzie, którzy nie mieli możliwości ucieczki. W tym gronie znalazła się również moja rodzina: dziadek Jan Turkosz, babcia Antonina Turkosz, inwalidka (bez nogi), ciocia Maria Turkosz i ja ze starszym bratem Józefem. Naszych rodziców nie było, gdyż jeszcze przed wojną, w 1938 r., wyjechali za chlebem do Francji. Tam też przetrwali wojnę i do Polski wrócili dopiero w 1946 r. Nikt z opuszczających wioskę mieszkańców nie zabrał nas ze sobą, chociaż wszyscy wiedzieli w jak trudnej jesteśmy sytuacji i jaki będzie nasz los, jeżeli pozostaniemy w miejscu, gdzie z każdą chwilą nasilały się działania bojowe.

Z naszego domu również nas wypędzono, gdyż Niemcy urządzili w nim punkt opatrunkowy (po zakończeniu walk pozostało w nim dużo zakrwawionych bandaży,

opakowań po lekach i różnych narzędzi medycznych). Udaliśmy się do małego zagajnika, odległego od naszego domu o ok. 150 m (na linii stanowisk niemieckich). Tu usiedliśmy i zdaliśmy się na łaskę losu. Wraz z naszą rodziną zebrało się tu ok. 10 osób.

Po południu (ok. godz. 16.00) do naszego zagajnika przybyła grupa żołnierzy niemieckich. Kategorycznie orzekli, że nie możemy tutaj przebywać. Jednocześnie oznajmili, że ich dowódca oddaje do naszej dyspozycji gotowy bunkier i mamy się tam natychmiast przenieść. Od bunkra dzieliło nas ok. 250 m. Drogę tę odbyliśmy pod silnym ogniem (podążaliśmy w stronę pozycji radzieckich, gdyż bunkier znajdował się między walczącymi stronami), w czego wyniku została ciężko ranna w głowę Karolina Staroń, nasza samotna i biedna sąsiadka.

W bunkrze ostatecznie zebrało się ok. 20 osób z różnych rejonów wioski (zapamiętałem nazwiska: Turkosz, Wojciechowski, Strzępa, Koba, Staroń, Skiba, Pogoda, Matuch). Było bardzo ciasno, nie było wody ani żadnych urządzeń sanitarnych. Nie było też miejsc do siedzenia i spania. Była tylko betonowa podłoga, drzwi wyjściowe i otwór strzelniczy. W chwili naszego przybycia do bunkra opuszczali go żołnierze niemieccy (sekcja kaemu MG).

W tych warunkach bytowaliśmy przez cały okres walk – 3 dni i 2 noce. Nasze posiłki stanowił tylko suchy czarny chleb. Potrzeby osobiste załatwialiśmy na zewnątrz, wyłącznie w nocy, ryzykując za każdym razem życiem. Bunkier był cały czas w strefie ognia broni maszynowej i czołgów (w jego najbliższym otoczeniu zginęło 4 żołnierzy radzieckich).

Rejon bunkra przechodził 3–4 razy z rąk do rąk. Po dotarciu do tego obiektu pierwszych żołnierzy radzieckich przestali oni go ostrzeliwać (mówili, że nie wiedzieli o znajdujących się tu osobach cywilnych). Przedtem bunkier kilkakrotnie ostrzelano z armat czołgowych i wielokrotnie z karabinów maszynowych. Ślady pocisków są tam do dziś bardzo dobrze widoczne. Kilka kul karabinowych wpadło przez otwór strzelniczy i odbiło się od przeciwległej ściany.

Wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na kolejne odwiedziny żołnierzy radzieckich. Za każdym razem przynosili nam wodę i skromne racje żywnościowe (czarny chleb), a także tytoń. Bardzo dobrze pamiętam, jak bandażowali głowę rannej Karoliny Staroń.

Przez otwór strzelniczy obserwowaliśmy pole walki, prawie jak widzowie śledzący akcję rozgrywającą się na teatralnej scenie, z tą tylko różnicą, że wszystko to działo się naprawdę, a my niestety nie mogliśmy się czuć tak bezpiecznie, jak w teatrze. Kolejne radzieckie ataki wychodziły z lasu, dochodziły do połowy łąk i zalegały w ogniu niemieckich karabinów maszynowych. Następnie żołnierze wycofywali się do lasu, pozostawiając zabitych i palące się czołgi (działa pancerne). Wszystko to działo się w odległości 50–300 m od naszego bunkra. Tych scen nigdy nie zapomnę.

O intensywności walk w naszej wiosce najlepiej świadczą straty poniesione przez walczących. Wojska radzieckie: 23–24 zabitych, wielu rannych, 4 zniszczone wozy bojowe (czołgi średnie i ciężkie działa pancerne). Wojska niemieckie: 2 zabitych (pozostawionych – resztę zabitych ewakuowano), 2 zniszczone transportery opancerzone, wiele porzuconej broni indywidualnej i zespo-

łowej, amunicji i różnego sprzętu wojskowego. Straty ponieśli też mieszkańcy wioski: 2 osoby zabite (znajdowały się poza bunkrem), 3 osoby ranne, jedno gospodarstwo spalone (p. Wojciechowskich) i wiele domów uszkodzonych. Zabitych zostało również ok. 20 krów.

Intrygowała mnie zawsze wielkość strat poniesionych przez żołnierzy radzieckich. W tak małej wiosce, jak nasza został unicestwiony pluton piechoty! Zniszczony sprzęt bojowy to: 4 czołgi średnie T-34, działo pancerne SU-152 oraz działko ppanc 45 mm. Można powiedzieć, że były to straty jak na tak niewielką skalę działań zbyt duże. Po przeanalizowaniu sytuacji taktycznej i terenu walki doszedłem do wniosku, że były dwie przyczyny tak dużych strat. Pierwsza – to powtarzające się ataki piechoty radzieckiej na umocnione (okopane) pozycje niemieckie bogato wyposażone w karabiny maszynowe MG bez wsparcia artyleryjskiego, druga zaś – to niewłaściwe użycie czołgów – bez współdziałania z piechotą i bez rozpoznania terenu (czołgi grzęzły na podmokłej łące).

Po wyjściu z bunkra widzieliśmy leżące w różnych miejscach zwłoki zabitych żołnierzy radzieckich. W oka mgnieniu ludzie odarli je z mundurów i bielizny. W gorących sierpniowych dniach zwłoki te bardzo szybko puchły, należało je więc jak najszybciej pochować. Niestety, nie było do tego chętnych. Uczyniła to dopiero przybyła wkrótce specjalna jednostka radziecka. Wraz z bratem i kolegami braliśmy udział w pochówku każdego radzieckiego żołnierza. Pochówki te odbyły się na polach Przyłęka.

Wspomniany bunkier istnieje do dziś; jest zresztą w bardzo dobrym stanie. Odwiedzam go od czasu do czasu z moją rodziną i przyjaciółmi.

Sądzę, że na zakończenie warto pokusić się o garść refleksji nad przedstawionymi faktami:

- nasi rodacy, stali mieszkańcy wioski i nasi sąsiedzi, ludzie bogatsi od nas, głęboko wierzący, widząc w jak dramatycznej – grożącej utratą życia – sytuacji się znaleźliśmy, nie wyciągnęli do nas pomocnej dłoni – nie zabrali nas na swoje wozy, pozostawiając nas na łasce losu;
- nasz odwieczny wróg i ówczesny okupant, reprezentowany przez żołnierzy Wehrmachtu, zadbał o ewakuację ludności, a nam uratował życie, oddając jedyny w tym rejonie bojowy bunkier;
- żołnierze radzieccy, reprezentujący – jak chcą nieprzejednani „patrioci” – drugiego najeźdźcę i okupanta, wyzwolili wioskę ofiarą życia wielu swoich żołnierzy, otoczyli nas opieką, żywiąc i opiekując się rannymi.

Po przejściu pierwszych rzutów operacyjnych do naszej wioski weszły jednostki odwodowe Armii Czerwonej i do stycznia 1945 r. prowadziły szkolenie bojowe. Zajęte zostały okoliczne lasy, w których urządzono obozowiska (ziemianki), a na pobliskich polach odbywały się ciągłe ćwiczenia taktyczne i strzelania z broni indywidualnej i zespołowej.

Nasz dom został obrany za punkt OPL dywizji piechoty. Na dachu urządzono wieżyczkę obserwacyjną, a w mieszkaniu przebywało stale 3–4 żołnierzy. W nocy spali oni na rozłożonej słomie, a w dzień czuwali w systemie zmianowym. Babcia gotowała posiłki dla rodziny i żołnierzy radzieckich, którzy dzielili się z nami żywnością. Do dziś pamiętam smak tamtego wojskowego chleba, słoniny, konserw

mięsnych i rybnych – produktów uzupełnianych kostkami prasowanych warzyw. Żołnierze radzieccy bardzo cenili sobie ziemniaki, ponieważ nie wchodziły one w skład ich frontowego menu. Dobrze pamiętam atmosferę, jaka panowała wówczas w naszym domu. My okazywaliśmy naszym lokatorom gościnność, oczywiście na miarę naszych skromnych możliwości, oni zaś odpłacali nam życzliwością i pomocą ułatwiającą bytowanie w tym trudnym czasie.

\* \* \*

Mam nadzieję, że przedstawione wydarzenia skłonią czytelników do krytycznej refleksji nad niektórymi stereotypami występującymi w naszym postrzeganiu drugiej wojny światowej. Stereotypy te dotyczą postaw i zachowań wszystkich trzech uczestników konfliktu na ziemiach polskich: Polaków, Niemców i Rosjan. Jakkolwiek mam świadomość, że przedstawiony przeze mnie epizod wojenny nie upoważnia do jakiegokolwiek generalizacji – byłoby to wszak obarczone błędem logicznego wnioskowania *pars pro toto* – to jednak myślę, że warto było go przypomnieć. Chociażby po to, by przypomnieć znaną, aczkolwiek nazbyt często zapomnianą prawdę o głębokim zróżnicowaniu postaw ludzkich w ekstremalnych sytuacjach. Zróżnicowaniu, które przeczy stereotypom będącym efektem uproszczonego, manichejskiego postrzegania ludzi i ich postaw w kategoriach „czarne-białe”. Jak się bowiem okazuje – i jak w moim przekonaniu dowodzi tego opisany przeze mnie epizod – w sytuacjach zagrożenia życia o zachowaniach ludzi nie decyduje ich przynależność narodowa i państwowa, ideologia czy też wyznanie religijne. O tym, czy jest się człowiekiem godnym tego miana decyduje bowiem co innego – mianowicie nacechowana empatią zdolność postrzegania drugiego człowieka jako bliźniego, współtowarzysza ziemskiego losu, któremu należy okazać pomoc w trudnej sytuacji, nie oczekując przy tym rewanżu z jego strony. Myślę, że konstatacja ta (bynajmniej nie roszczę sobie pretensji do jej autorstwa), mająca niewątpliwie wymiar ponadczasowy, we współczesnym świecie – pełnym drapieżnego egoizmu, cwaniactwa, politykierstwa, a także lekceważenia godności i rzeczywistych potrzeb ludzi – nabiera szczególnej aktualności.

I jeszcze *postscriptum*: jestem ciekaw, czy czytelnicy spotkali się z wydarzeniami podobnymi do przypomnianego przeze mnie epizodu z końcowego okresu II wojny światowej.

***Julian Babula***